

NIEDZIELA

TYGODNIOWY DODATEK BEZPŁATNY

Nr. 49

Katowice, 8-go grudnia

1935

Na drugą niedzielę Adwentu

EWANGELJA

zapisana u św. Mateusza w rozdz. 11, w. 1—10.

W on czas: Gdy Jan usłyszał w więzieniu o czynach Chrystusa, wysłał dwóch ze swych uczniów i zapytał Go: Czyś Ty jest tym, który ma przyjść, czy też innego czekamy? A Jezus odpowiadając, rzekł im: Idźcie i opowiedzcie Janowi, coście słyszeli i widzieli: „Ślepi widzą, chromi chodzą, trędowaci czystymi się stają, głusi słyszą, umarli powstają, ubogim opowiada się Ewangelię“ (Iz. 35, 5); a błogosławiony jest ten, kto o mnie nie wątpi. A gdy oni odeszli, zaczął Jezus mówić do rzesz o Janie: Coście poszli oglądać na pustkowiach? — czy trzcinę, wiatrem kołysaną? Ale coście poszli oglądać? — czy człowieka, w miękkie ubranego szaty? — Oto ci, którzy w miękkie szaty się stroją, mieszczą po dworach królewskich. Pocóżście więc wyszli? Czy oglądać proroka? — Tak, powiadam wam: nawet więcej niż proroka. O nim bowiem napisano (Mal: 3, 1):

„Oto Ja posyłam wysłańca mego,
przed obliczem twem,
który przygotuje drogę twą przed Tobą“.

NAUKA.

Dwie przewspaniałe gwiazdy poprzedzają przyjsze Zbawiciela świata: Marja i Św. Jan Chrzyciel, dwa wielkie światła na Bożym firmamencie, poprzedzające „Słońce Sprawiedliwości“, Jezusa, który „oświeca każdego człowieka, na ten świat przychodzącego“ (Jan 1, 9).

Dlatego to w Adwencie, przypominającym nam wszystkim mroki czasów przed Chrystusem, „gdy wśród przekleństwa od Boga czart panował, śmierć i trwoga“, stawia Kościół św. przed oczyma duszy naszej: Niepokalaną „obleczoną w słońce“ i wielkiego Poprzednika Jezusowego, św. Jana Chrzyciela.

Jeśli Marja jest „niezglębioną przepaścią“, łaski pełną“, bo została wybraną na Matkę Syna Bożego, — to również i św. Jan Chrzyciel — jako ten, co „gotował drogę temuż Synowi Bożemu, staje przed nami jako olbrzym ducha i wybraniec łaski Bożej. Bo przecież o nim to mówił Pan Jezus — później — rzeszom ludu żydowskiego, że „nie narodził się większy od Jana Chrzyciela“...

Ponieważ zaś Kościół św. kilkakrotnie stawia nam — w czasie Adwentu — przed oczyma duszy świętej postać wielkiego Poprzednika Chrystusowego, przyjrzyjmy się tej świetlanej gwiazdce, poprzedzającej „Słońce Sprawiedliwości“! Przyjrzyjmy się jej:

- 1) gdy wschodzi na horyzoncie,
- 2) gdy dosięga swego zenitu — i
- 3) gdy skłania się ku zachodowi!

I.

Na progu życia i na progu powołania Św. Jana Chrzyciela widzimy go oddanego już zawczasu przy-

szlemu zadaniu życiowemu: zasadniczemu, t. zn. „przygotowaniu drogi“ Chrystusowi Panu.

Zaranie życia tego wielkiego męża otacza sam Bóg najpieczołowitszą opieką i łaską swoją. Daje mu rodziców pobożnych i świętych wprost (to bowiem oznacza wyraz „sprawiedliwy“, zastosowany do nich przez Pismo św.), daje mu tę atmosferę błogosławioną, w której kielkuje jego wielkie powołanie.

A potem wieździe go na puszcze, by — w ciszy i odosobnieniu — mówić doń tym najbardziej dogłębnym sposobem, kiedy to Bóg sam kładzie w duszę swoje święte pomazanie, znacząc ją stygmatem jej przyszłych celów, przezeń uświęconych.

— Warto, w tę adwentową niedzielę, spojrzeć w tajniki naszych rodzin...

Czy rodziny nasze stają się przez należyte zrozumienie i wypełnienie obowiązków rodzicielskich podatną glebą, na której dzieci mogą przygotować się do zadań życiowych?...

Czy podrastająca młodzież rozumie w całej pełni jak ważnym jest przygotowanie do życia w ciszy i odosobnieniu zwłaszcza wówczas, gdy chodzi o decyzję co do powołania? ... Jakże raduje się serce, gdy widzimy, całe szeregi młodych, zamykających się w odosobnieniu na „święte ćwiczenia“, by przygotować się na wybór stanu i zawodu! Prośmy Boga, by mnożyły się te szeregi! Prośmy Boga, by młodzież nasza szła w życie — poprzez pustynię ciszy i głębokiego zastanowienia!

Jest to bardzo doniosła modlitwa.

II.

I oto wspaniała gwiazda Janowa staje u zenitu! Uświęcony w ciepłe rodzinne pod światłem kierownictwem rodziców, przyprowadzony przez „wielkie rekolekcje“ na pustyni, staje Św. Jan Chrzyciel nad wodami Jordanu, głosząc zjawienie się Tego, któremu: „nie jest godzien rozwiązać rzemyka u trzewika jego“. Staje jako prorok i więcej niż prorok, staje jak jasny słup ognia, żarem świętości życia gorejący, trawiący tym żarem wszelkie zło. I wówczas to — u zenitu swej świetności — zdobywa się na bohaterstwo przeciwstawienia się złu, rozpierającemu się bezczelnie i uprzywilejowanemu, uosobionemu w przewrotnym Herodzie.

„Prostując ścieżki Pańskie“ nie tylko świeci przykładem nieskalanego życia, ale „przykłada siekiere do korzenia“ zła, pleniącego się w społeczeństwie. Owszem z nadludzką odwagą chwyta hydrę zła tam, gdzie ona najgroźniejsza, by ją zdusić — w obronie prawa Bożego i Bożej czci...

— W okresie dziejowym „Akcji Katolickiej“ żyjemy i wielkie stąd dla nas płyną obowiązki. Streszczają się one jednak w tem, co jest treścią publicznego życia Św. Jana Chrzyciela, t. zn.:

- a) w apostołstwie życiem i przykładem — i
- b) w zdecydowanej walce ze złem, skądkolwiek ono się wsacza — jak jad złowrogi — w społeczeństwo.

Prośmy dziś gorąco Św. Jana Chrzyciela, by nam wyprosił zrozumienie należyte tego podwójnego zadania naszego!

MODLITWA

...A Ty, o Pani, co nasze dąbrowy
i strzechy świętą błogosławisz ręką,
Hetmanko starej naszej Częstochowy,
wzejdz nam w noc smutku przyjazną jutrzzenką!

Niechaj to czujem, że nad ziemią naszą
połyska Twoja gwiazdzista korona —
i niech nas żadne przygody nie straszą!
Zdrowaś Maryjo i błogosławiona...

Marja Konopnicka.

U w a g a: Wiersz ten napisała Konopnicka na krótko przed swą śmiercią w r. 1910.

III.

Przyjrzyjmy się: jak „zachodzi“ gwiazda św. Jana Chrzyciela!

Przepiękny jest ten „zachód“...

W psalmach Dawidowych (115, 15) czytamy, że „bezcenną, kosztowną (pretiosa) jest śmierć świętych przed Bożem obliczem“, w Bożej ocenie.

Jakże — ponad wszelki wyraz — była drogą i cenną przed Panem śmierć św. Jana Chrzyciela, oddającego życie w obronie prawa Bożego i cnoty...

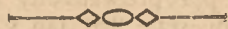
Jeśli w życiu swym świętym był i jest św. Jan Chrzyciel wielkim i podziwu godnym, to niemniej jest wprost wspaniałym w swej śmierci męczeńskiej, wieńczącej jego skronie niezrównaną aureolą poświęcenia i bohaterstwa!

— Gotowiśmy powiedzieć: tak, uznajemy to wszystko, chylimy czoło przed postacią św. Poprzednika Chrystusowego, ale — to dla nas wzór niedościgły, przerasta nas nieskończenie.

Na to odpowiem ze św. Pawłem: „wszystko mogę w tym, który mnie umacnia!“ (Filip. 4, 13).

To, co słabe i kruche, bo ludzkie, — olbrzymieje i urasta w rękach Bożych...

I stąd moja pokorna i ufna prośba: Panie, Ty wszystko możesz! Więc bohaterstwem i męstwem mnie uzbroj, bym był gotów życie oddać za Twą sprawę! Amen.



JANINA WASILEWSKA.

Niedowiarek

Dom zmieniał kilkakrotnie swych właścicieli. Tak się jednak składało szczęśliwie, że każdy z nich był chrześcijaninem, prawie wszyscy zaś byli szczerymi katolikami. A jeden z nich, choć był kalwinem, nie sprzeciwił się tradycji domu i nie zdjął wiszącej w bramie podobizny Matki Boskiej Częstochowskiej. Po dawnemu paliła się przed nią każdego wieczora lampka oliwna o błękitnym świetle, rzucającem migotliwe odbłaski poprzez granatowe szkło na obraz ciemny, zszarzały dzięki zmiennej pogodzie. Stróżka, wdowa, pracująca już w tym domu od lat 22, niezmiennie o tej samej porze zimowej i o tej samej porze letniej przystawiała ławeczkę do szafki z listą lokatorów, nad którą wisiał obraz, wypełniała lampkę oliwą i zapalała płomynek. Z latami postarzała się, przytyła ogromnie, ciężko jej było wchodzić na ławkę, sprawiła więc sobie drabinkę o trzech szczeblach, aby nie potrzebować zbyt wysoko ugiąć zastających kolan, ale i to nie na długo wystarczyło. Nadeszła taka chwila, że przejście przez próg stanowiło dla niej zbyt wielki wysiłek, gdy chciała wyruszać poza swoją stróżówkę, cóż dopiero mówić o

wchodzeniu na drabkę dla zapalenia lampki. Musiała zacząć więc wyręczać się tym hultajem, Antkiem, tym „nicpotem“, jej wielkiem zmartwieniem, jej troską przeogromną, co zmuszała ją niejednokrotnie do stawania w progu stróżówki i spoglądania błagalnym okiem na ciemny, zszarzały wizerunek Najświętszej, z niemą prośbą o odmienienie syna.

— Antek, chorobo jedna, rusz się, nicponiu jakiś! — przemawiała z bolesną złością, szarpiąc leżącego w pościeli chłopaka.

— Co też mama? — oburzał się wyrostek, odwracając się nosem do ściany, a plecami do swej rodzicielki. — Poco mam wstawać? Goni mnie kto, czy jak? Robota na mnie czeka?...

— A czekałaby, gdybyś nie był takim leniem. Ulicę zamieść trzeba...

— Niech se zamiatają miejskie... ja tam od nich nie jestem płatny.

— A jak miejskie nie zdążą, to ma śmietnik być przed domem? Czy ci nie wstyd, aby przed twoją kamienicą śmiecie się wałały?

— Owa, tam moja kamienica! Dobrzeby było! Wcalebym z beta nie wstawał.

Wiedział, że drażni się z matką, ale taką miał już złą, przekorną naturę, że mu to nawet przyjemność sprawiało.

— Kamienica jest tych, co na nią umieją zapracować.

— Tere-fere... Z zamiatania jeszcze se nikt nie zbudował kamienicy. Nie gadałaby mama. A wstać, nie wstanę, nie chce mi się. Niedziela jest; wczoraj sprzątnąłem bramę, wytarłem wszystkie schody, wodę świeżą do spluwaczek naląłem, to se mogę dziś leżeć, wiele mam tylko ochoty.

— Do kościoła powinienes iść, jeśli nie chcesz skarania Bożego. Za matkę się pomodlić, bo ja, nieszczęśliwa, już z pół roku nie mogę nawet do Zbawiciela się pokuszyć, wiesz dobrze.

— To niech się mama w domu pomodli. Pan Bóg, podobno, i tak słucha, a nie, to mamie radio sfabrykuje i tyle będzie mama sobie słuchała kazania w domu.

— A sfabrykuj, niech choćby tyle z ciebie będzie pociechy, skoroś taki odmieniec. Ojciec twój, jakby żył, skóreby ci pasem wyłoił i zapędziłby na mszę. Sam jej w żadną niedzielę nie opuścił... Zacny był. Skąd z ciebie taki djabeł? Chłopaki te inne, te z sąsiedztwa, te z pod 66, one się tak zmieniły, dranie podłe. Jeden już siedział w kryminale...

— Eee... krótko.

— Poczekaj, posiedzi on jeszcze dłużej, zapamiętaj moje słowa, przekonasz się.

— Nie ma mama na kogo, to musi na chłopaków wydziwiać. — Podniósł się Antek z kraciastej pościeli i zaczął się ubierać. Przeciągał się przy tem ubieraniu, ziewał, choć to już dziewiąta dawno minęła, a nosem pociągał, czując pachnącą świeżo zgotowaną kawę. Matka krzątała się po ciasnej izdebce, raz po raz wychylając się i spoglądając w okrągłe okno, wprawione w drzwi, aby przekonać się, kto w bramie idzie, kto wychodzi i t. d. Uważna bowiem była. A znała wszystkich. Nie dziwota; 22 lata w jednym domu.

Wyelegantował się Antek, buty wyczyścił tak, że się w nich przejrzeć mógł, włosy wyszczotkował, krawat niebieski w żółte pasy zawiązał z szykiem, czapkę popielatą cyklistówkę, co ją na imieniny niedawno od matki dostał, na ucho nasunął, że zawiądko się w niej przedstawiał, wreszcie ciemnoróżowy goździk wyjął ze słoika stojącego na oknie i wpiął sobie w granatową marynarkę. Matka ukosem patrzyła na niego za tę jego „inność“, nie mogło jej serce matczyne nie radować się, że chłopak naprawdę jest udany.

— A na siódmą wróć do domu — rzekła, gdy Antek był w progu. — Trza lampkę zapalić przed Często-chowską.

— Będę! — rzucił krótko, spoglądając uważnie na swe odbicie w okrągłej szybie drzwi.

— Teraz choć na pacierz wpadnij do kościoła, bo ci Pan Bóg nie będzie błogosławił, nic dobrego nie ześle.

— Ma tam Pan Bóg tyle kłopotów, że się napewno o mnie troskać nie będzie, a ludzi jest taka moc, że napewno o mnie nie zdąży pomyśleć...

— Błuznisz, powiadam ci, chłopaku. Niech ci tego, co gadasz, nie pamięta Bóg... — rzuciła już za nim, ale chłopak szybko znikł w gwarze ulicy.

Popatrzała za nim chwilę, westchnęła sobie z głębi stroskanego kobiecego serca, spojrziała tem samym spojrzeniem co zwykle na obrazek, tonący w tej chwili w sнопie jasnego słonecznego światła, i poczuwszy większy, niż zazwyczaj ból w opuchniętych niemożliwie nogach, przysiadła sobie w progu i zabrała się do obierania kartofli i ogórków na obiad.

Antek, jak przyrzekł, przed siódmą zjawił się. Zjadł spóźniony obiad ze zdwojonym apetytem i rozciągnął się tak, jak wstał, w ubraniu na łóżku zaslanem.

— A czy ja cię nigdy nie nauczę, zakała jedna, żebyś mi się na kapie nie kładł? Nic nie może być długo czyste i nieżeświńtuzzone! Wszędzie wszyscy mają wszystko całe i porządne, tylko ja przez takiego drania muszę mieć jak psu z gardła wyjęte. Żebyś to sam musiał uprać i uprasować, tobyś i uszanować umiał. A rusz-że się, skoro ci każę — krzyknęła nakoniec już bardzo rozgniewana do głębi, bo obrażony został w niej jej trud nieoceniony, jej wysiłek, jej praca.

Antek ruszył się niechętnie. Zlaził z pościeli, wziął mandolinę, wyszedł przed drzwi, siadł na ławeczce i począł brzdąkać melodie zasłyszane, gdzie się dało. Były to przeważnie znane wszystkim kabaretowe, arcymodne piosenki.

Każdemu podoba się muzyka. Przechodziła mała Frania z pod 6 od adwokata, z syfonem wody i zatrzymała się, aby posłuchać grania, a przytem, nie można pominąć tego, że Antek, w czapce na tył głowy zsuniętej, ze zwiędniętym w klapie goździkiem, z nogą bezceremonjalnie opartą o ławkę, na której siedział — że Antek też był chłopakiem, na którego popatrzeć wcale nie było nieprzyjemnie małej Frani od adwokata z pod 6. On to czuł i widział, ale udawał, że Frani prawie wcale nie spostrzega. Patrzał w struny, a niekiedy na sufit bramy i grał „sobie a muzom“. Frania postawiła syfon obok swych lakierków z wykręconemi; zbyt wysokimi obcasami, któremi nadrabiała brak natury — niski wzrost, miętosila brzeg haftowanego białego fartuszka i łączyła się z głębokiem przekonaniem ze słowami granej na mandolinie melodji: „pragnę twoją być, o mój jedyny...“

W cieniu drzew stróżówki jej twarzyczka, choć pokryta mnóstwem małych dołków po ospie, otoczona białym sztywno uprasowanym czepeczkiem robiła bardzo przyjemne wrażenie. Przyszedł i sąsiad, zwabiony jękliwemi tonami instrumentu, ten z pod 66, ten który już był raz w kryminale, ale „krótko“, ten sam, któremu matka Antka prorokowała dłuższy tam pobyt.

Przyszedł i dojrzał rozanielone oczy małej Frani i podsunął się do niej bezceremonjalnie, widząc, że Antek ma ją za tyle, co przeszłoroczny śnieg. Oparł się bokiem o te same drzwi, jednocześnie układając swą łopatkę na ramieniu dziewczyny.

Frania drgnęła i odsunęła się.

— Co panna Frania taka słaba?...

— A co się pan Władek tak pcha? — rzekła niechętnie, ujmując syfon.

Muzyka umilkła, Antek śmiejącemi się oczami patrzył na oboje. Natarczywość pana Władysława wznosiła w miarę oporu panny Franciszki. W pewnym momencie ramię Władka otoczyło Franię.

— O nie, — zaprotestowała pokojówka z pod 6 z zamiarem wycofania się z niespodziewanej niewoli.

— Co się panna Frania tak wstydzi, może być ślub, a to dziś nie tak łatwo; o, jest obraz, Antek będzie księdzem...

— Nie chcę ślubu, niech mnie pan Władek puści — rzekła z uporem, wykręciła się mu z ręcznicę, wzięła syfon i poszła w stronę kuchennych drzwi.

Antek został z kolegą. Przysiadł się do niego ten sąsiad „z kryminału“ i w pogawędkę wdał.

— Ty... wiesz? — rzekł w pewnej chwili, — byłem dziś na takim zebraniu, gdzie mówili, że za dziesięć lat, to i u nas nie będzie żadnych księdzów, religjów, kościołów... jak w Rosji...

— Matka nie będzie naganiała... — zauważył półgębkiem Antek.

— Co? — zapytał Władek.

— E, nic, ja tak do siebie... a ty w to wierzysz?

— Co nie mam wierzyć? A jakże. Poco to komu? Człowiek się modli do obrazów, słucha, co mu ksiądz w kościele mówi, ale jak trzeba się starać o siebie, to sam musi o sobie pamiętać, ksiądz mu niewiele pomoże, a obraz jeszcze mniej. Zagraj co, — rzekł zmieniając naraz temat rozmowy.

Antek naciągnął kołeczki i zabrządkał „Ostatni jeszcze raz“. W oknie na drugim piętrze ukazała się głowa Frani. Władek z rękami w kieszeniach przechadzał się po bramie. W pewnej chwili zatrzymał się przed Antkiem.

— Ty, a poco u was w bramie ten obraz wisi? Czy się kto do niego modli? Przecież tu i żydzi mieszkają, to nawet nie wypada, aby w takim domu...

— A tobie co do tego? Wisi, bo wisi już tak zawsze. Odkąd tu mieszkam, to sobie wisiał.

— Jak ty już tu będziesz stróżował, powinieneś go zdjąć.

— Dlaczego?

— Bo prawie w żadnym domu tego niema.

— To co, a u nas jest, bo jest. A cóż się tak uwziął dziś na obrazy? Że se tam gadają, co będzie za 10 lat, niech gadają. Jeszcze te 10 lat nie minęło.

— Głupi ty jesteś, będzie tak za 10 lat, jak zaczniemy dzisiaj. Dostyc tego tumaniena ludu. Opowiadają, że dla ludu trza religji, bo to go trzyma. Juścił! Trzyma w głupocie, bo zamiast myśleć o tem, żeby sobie samemu radzić, czekają, aż im obrazek co da i nie mają nic...

— Niech tam kto inny zaczyna, a ja nie będę. Matkaby z domu wyrzuciła.

— E, matka twoja stara już, chodzić nie może.

— Co ci do tego. Nos w sos. Żebyś nie wiem co gadał, to teraz obrazu nie zdejmę. Może za 10 lat, ale nie wiem, to jak przyjdą te czasy, co o nich gadasz, i każę zdjąć...

— Głupi zawsze głupim pozostanie — rzekł pogardliwie Władek i nie wyjmując rąk z kieszeni począł się oddalać. Przy bramie nachylił się, podniósł odpadnięty skądś spory kawałek muru, odwrócił się i ze śmiechem trzasnął tą grudą w szybę obrazu.

Naraz stało się coś niespodziewanego. Antek zerwał się z ławki i potykając się o opuszczoną mandolinę dopadł w bramie Władka.

— Ty draniu nikczemny — wycharczał wściekle, chwytając obiema rękami za kark Władka.

Ukaż nam twe dziecko...

... A, gdy po ziemskim wygnaniu tułaczem
pójdziem na wieczność służebną gromadką
niech Jezus nad naszym zlituje się płaczem,
niech Jego najświętsze oblicze obaczym!...
Ukaż nam Twe Dziecię, o Matko!!!

Władysław Syrokomla.

Poszły w ruch pięści, nogi w butach solidnie pod-
zelcowanych, ruchy rąk stały się błyskawiczne, uderze-
nia dudniły, jak dalekie pioruny, stłumione krzyki
przeplatały wyzwiska najordynarniejsze, a między nie-
mi głos Antka pełen pasji wyrzucał z siebie:

— To za Matkę Boską, to za obraz...

Brama napelniała się ludźmi, próbowano rozerwać
bijących się, matka Antkowa wraz z sąsiadkami dar-
ła się:

— A opętańce! a koguty rozjudzone!

Nie mogąc sobie poradzić przyniosła garnek wo-
dy i oblała bijących się, choć Antek miał na sobie no-
wiutką marynarkę, ale i to nie pomogło. Zęby chłop-
kom łyskały jak błyskawice, oczy rzucały skry. Wszel-
ka interwencja okazywała się bezskuteczna. Kotłowali
się po całej bramie, przepychając z kąta w kąt ludzi, co
ich rozdzielić chcieli, kopali wszystkich naokoło, aż
wreszcie pojawił się stróż porządku publicznego i przy
pomocy sąsiadów i gapiów zlikwidował zatarg.

Jeszcze, choć trzymani za obie ręce, próbowali do-
skakiwać do siebie, machali w przestrzeń nogami, chcąc
w jednym kopnięciu wyrazić całą swą wściekłość, ale
im nie pozwolono. Wyglądali — pożał się Boże! Nikt-
by nie poznał nowej Antka marynarki. Goździk w kła-
pie ocalał, ale przedstawiał sobie strzępek różowo-zie-
lony, buty straciły świąteczny wygląd — a twarz! No-
sem płynęła krew, zbite ucho puchło w oczach patrzy-
jących, wielki guz siniał koło oka, włosy sypały się na
szyję i ubranie. Przeciwnik wyglądał nielepiej — ra-
czej gorzej.

— O niech tamna patrzy, rzucił w obraz kamie-
niem! — darł się schrypniętym głosem Antek — rzucił
kamieniem, podlec. I myślał, że ja na to pozwolę,
ścierwo jedne! Kanalia, nikczemna dusza!!!

— Podlec, nikczemna dusza — potakiwali mu
zgodnie i ci, którzy dotąd jeszcze nie zdawali sobie spra-
wy spowodu zająścia, doszukując się raczej podłoża ro-
mantycznego w całej awanturze, gdyż widzieli nieda-
wno w bramie Franię, a teraz ze zgrozą spoglądali na
obitego Władka, podnosili z pietyzmem szkło i potaki-
wali słowom Antka, kiwając głowami, a niekiedy zacis-
kając groźnie pięści.

— Do kryminału takiego! Jużci! Dziś rozbija
obraz, jutro kościół okradnie, a pojutrze księdza za-
rżnie.

— Już go tam Matka Najświętsza pokarze, moja
pani, pokarze napewno, nie ujdzie on Jej sprawiedliwo-
ści... — dodawano z przekonaniem.

Stróż porządku publicznego spisywał protokół i
zapędził obydwoh winnych bicia do komisarjatu.

Wieczorem Antek wrócił.

— No i co? — rzekła matka.

— Będzie sprawa — odpowiedział — posiedzi...

— A ty?

— Nie wiem... może.

Wziął schodki, przystawił do obrazu, powyjmo-
wał drobne kawałki szkła, nalał oliwy, zapalił i scho-
dząc, rzekł do stojącej w prugu matki:

— Szkło wprawię jutro

A gdy siadał do kolacji, mruknął więcej do siebie
niż do matki:

— To jucha! Jak sobie gadał, to niech go tam.
Ale rzucać kamieniem w Matkę Boską, to niedoczek-
anie jego!

Życie religijne w Polsce

w oczach cudzoziemca.

W ocenie tego, co się u nas dzieje w Polsce, wska-
zany jest najdalej idący obiektywizm, abyśmy mogli
zrozumieć nie tylko cechy dodatnie, ale i wady naszego
narodu. I dlatego dobrze jest wysłuchać czasami, co
o życiu w Polsce piszą cudzoziemcy, gdy ujmują spra-
wy nasze ze stanowiska obiektywnych obserwatorów.
Do takich opinii cudzoziemców, którzy ustojunkowali
się do Polski obiektywnie i bez uprzedzeń, należy cie-
kawka książka amerykańskiego majora Harolda Mac
Gregor'a p. t. „Amerykanin o Polsce“. Zwłaszcza inte-
resujące są jego uwagi zawarte w rozdziale „Życie reli-
gijne w Polsce“, gdzie m. in. czytamy:

„Religia katolicka zdaje się być szczególnie bliska
duchowi polskiemu. Jest ona historyczną podstawą
polskości. Uczucie religijne jest bardzo głęboko zako-
rzenione w narodzie... Naród polski jest jednym z naj-
gorliwszych obrońców Kościoła katolickiego. Ta reli-
gja silnie związana z duchem narodu polskiego, będzie
zawsze odgrywała wielką rolę w państwie. Lecz religia
ta w czynnych swych przejawach nie przenika wszyst-
kich warstw narodu w równej mierze“...

O roli duchowieństwa katolickiego w Polsce mówi
Harold Mac Gregor w ten sposób: „Księży w Polsce
nie jest za wielu; niema ich naprawdę ponad potrzebę.
Polska ich potrzebuje jaknajwięcej“...

Na pomoc O. O. Kamedułom w „Puszczy Kazimierskiej“!

930 lat temu „Pięciu Braci Męczenników“, uc-
niów św. Romualda poniosło śmierć w „Puszczy Kazi-
mierskiej“ (w r. 1005). Spadkobiercy tych Męczenni-
ków, o. o. kameduli na Bielanych pod Krakowem, po-
stanowili odbudować zapomnianą przez ogół społecz-
stwa pustelnię kamedułską w „Puszczy Kazimierskiej“
(w pow. konińskim, woj. łódz.) i zwracając się o datki
na ten cel. Imiona ofiarodawców będą wpisane do „zło-
tej księgi“, która będzie złożona w chórze zakonnym
wspomnianej pustelni. — Ofiary należy kierować pod
adresem: O. O. Kameduli — Bielany — p. Kraków.

Zdania i myśli

„Ręce złożone do modlitwy — stwarzają życie...“

Lavredan.

*

„Modlitwa jest ofiarą niewidzialną,
a ofiara: widzialną modlitwą...“

Hettinger.

*

„Niema piękniejszej modlitwy ponad Deo gratias
(Bogu dzięki)!“

Św. Augustyn.